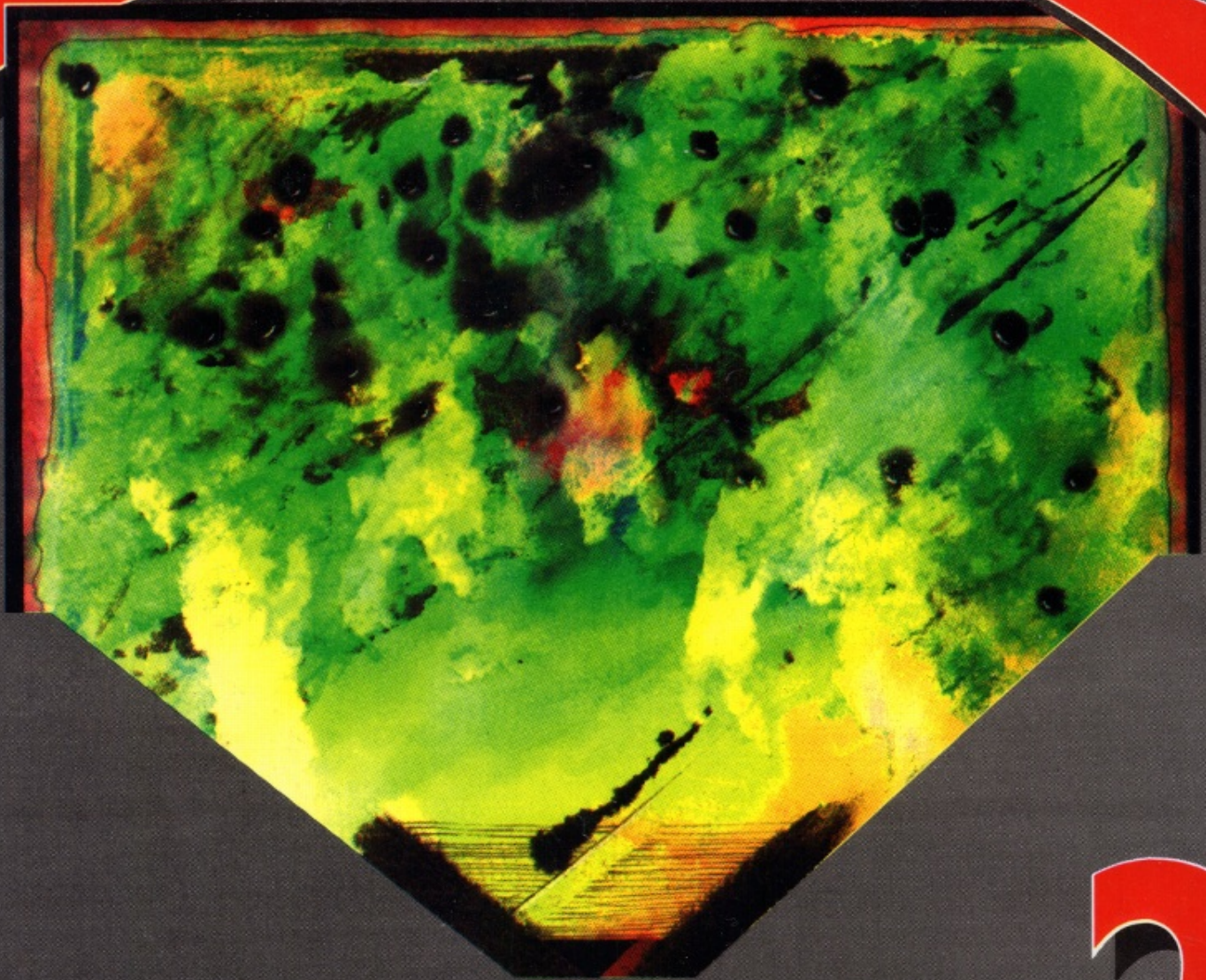


MIROSLAW PRANDOTA

# ŁAŃCUCH KRWI



2



Mirosław Prandota

„Łańcuch krwi” Część II -  
„Dziedzictwo towarzysza Kozakowa”

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

Mirosław Prandota

„Łańcuch krwi” Część II – „Dziedzictwo towarzysza Kozakowa”

Copyright © by Mirosław Prandota, 1995

Copyright © by Wydawnictwo Profi, 1995

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor serii: Andrzej Kaźmierczak

Redaktor techniczny: Michał Grom

Redaktor wydania: Barbara Grzywińska-Doktór

Projekt graficzny okładki: Andrzej Włoszczański

Autor ilustracji: Waław Wołosz

Korekta graficzna okładki: Jakub Kleczkowski

Skład epub, mobi, pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-217-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

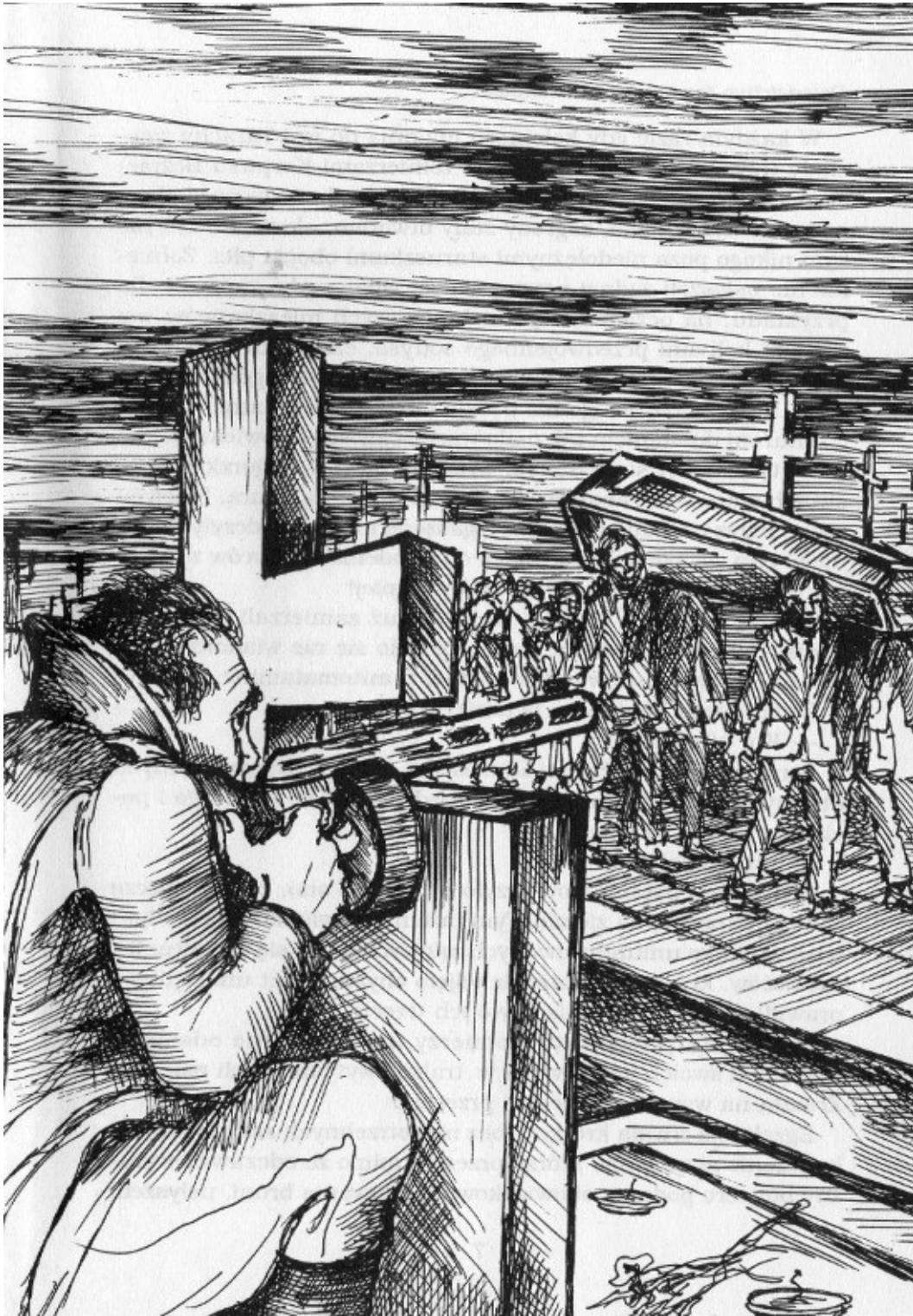
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# Rozdział 1.



Koniec stycznia był wyjątkowo mroźny, a mimo to w kondukcie pogrzebowym uczestniczyła chyba połowa mieszkańców Zieleńca. Nieboszczyka nieśli na

zmianę ludzie znajdujący się akurat najbliżej trumny. Gdy tylko poczuli zmęczenie, jeden z nich dawał znak ręką do tyłu i momentalnie podbiegała zmiana w liczbie sześciu osób, aby wziąć ciężar na własne barki. Na przedniej, a także na tylnej stronie trumny widniały klepsydry wyrzeźbione ozdobnym, wręcz dekoracyjnym pismem: „Ś.p. Michał Grodecki, podporucznik Armii Krajowej, ps. "Bocian". Żył lat 42. Zginął śmiercią tragiczną 25 stycznia 1945 roku”.

Nikt z rodziny nie towarzyszył Michałowi Grodeckiemu w jego ostatniej, ziemskiej wędrówce. Tak się złożyło, że na kilka dni przed śmiercią byłego partyzanta, w niewyjaśnionych okolicznościach wpadła do studni jego ośmioletnia córeczka, a w kilka godzin później znaleziono małżonkę, powieszoną na belce w stodole. Śledztwo w tej sprawie prowadzi Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa, na którego czele stoi podobno bardzo energiczny major Armii Czerwonej, Sergiusz Kozakow.

Tenże Kozakow pojawił się w mieście dwa miesiące temu, gdy tylko Wehrmacht i ostatnie zbiry Fullera łącznie z nim samym opuściły Zieleniec. Już następnego dnia uformowała się w ratuszu rada miejska, na posiedzeniu której pojawił się sam komendant Kozakow z obietnicą wydatnej pomocy w kwestii ukrócenia wrogiej działalności bandyckiego elementu.

Jego oświadczenie przyjęte zostało z aprobatą, ale bez entuzjazmu. Komendant nie sprecyzował, co dokładnie miał na myśli, używając zwrotu „bandycki element”. Między sobą radni doszli jednak do wniosku, że sprawa ta „wynika sama z siebie”, a poza tym – „z czasem wszystko się wyjaśni”.

Zanim jednak cokolwiek zaczęło się wyjaśniać, wśród ludności powiatowego miasta Zieleńca gruchnęła wieść, że funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa spalili dom mieszkalny w Tarachach, pragnąc wykurzyć z niego ogniem i dymem kogoś, kto uparł się, że nie wyjdzie. Po wrzuceniu kilkunastu granatów przez okna uparty gospodarz i tak nie był w stanie wyjść, a po zawaleniu się płonącego domu - tym bardziej.

Niedyskretnym sąsiadom wymknęła się jednak z ust informacja, że ten uparty człowiek, który nie skorzystał z zaproszenia urzędowych gości, był jeszcze do niedawna jednym z podoficerów Batalionów Chłopskich. A wyjść nie chciał, tłumacząc podobno donośnymi okrzykami, że „z byle łachudrami nie ma zwyczaju się spotykać, więc niech łachudry wracają do siebie”.

A jakże, wrócili, ale pozostawiając gospodarzowi te piętnaście, czy może trochę więcej lub mniej pękających granatów.

Następnego dnia rano na skwerze miejskim znaleziono zamrożone już ciało Włodka Strzelczyka, pierwszego zastępcy Kozakowa Włodka. Znały przed wojną wszystkie panny w mieście i prawie wszystkie gotowe były wtedy nie przespać całej nocy za jeden uśmiech amanta numer jeden miasta Zieleńca. Po wkroczeniu Niemców we wrześniu trzydziestego dziewiątego Włodek przepadł gdzieś, ale niedawno powrócił u boku Armii Czerwonej i wyglądał jeszcze bardziej okazale, niż kiedyś, a panienkom nie przeszkadzało ani trochę, że został pracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa.

- Patriotyzm zawsze był u nas w cenie! - oświadczał publicznie raz po raz. - A tym bardziej w trudnym okresie budowania powojennej Polski. Wojna wprawdzie jeszcze się nie skończyła na całej linii, ale agonii Niemiec nikt już nie odwróci. A mojej ojczyźnie oddany jestem ciałem i duszą.

Nikt nie wie, co stało się z duszą, natomiast jeżeli chodzi o ciało, to w piersi ofiary tkwił jego własny sztylet z przymocowaną kartką, na której widniał króciutki tekst: „Smierć mordercy!”

Rozeszła się oczywiście tego samego dnia plotka, że to uwielbiany przez panienki Włodek dowodził grupą wysadzającą dom w Tarachach, ale jego ojciec nie potwierdził tej opinii.

W każdym razie gdy kolejnego już dnia do wsi Tarachy zajęły trzy willysy z uzbrojonymi żołnierzami Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, aby przepytań mieszkańców na okoliczność śmierci Włodka, zagrody stały otworem, ale w środku nie było nikogo poza niedołączonymi staruszkami obojga płci. Żołnierze nie usłyszeli żadnej nowiny nawet wtedy, gdy, zapewne dla przykładu, na oczach wszystkich starszych mieszkańców wsi zatłukli kolbami przedwojennego sołtysa, człowieka schorowanego i przepaszającego wszystkich za to, że w ogóle żyje. No cóż? Umarł i już nikogo nie będzie musiał przepaszać.

Znużeni dobijaniem tak mało wartościowego człowieka, jakim niewątpliwie był stary sołtys, wracali gniewni i zgorzkniali do swoich pojazdów, zaparkowanych pod wioskową figurą. Przewieszane przez ramiona pepesze i zgaszone miny świadczyły dobitnie o tym, że akcja, zmierzająca do ustalenia sprawców zbrodni nie powiodła się, ale... nie teraz, to później!

Tak się pechowo złożyło, że kiedy już zamierzali zajmować miejsca w samochodach, nagle pojawiło się nie wiadomo skąd kilkanaście zamaskowanych postaci z automatami w rękach i trzeba było podnosić ręce do góry, bo akurat

w tak trudnej sytuacji nic innego nie mogło przyjść do którejkolwiek żołnierskiej głowy.

Padło nawet konkretne pytanie:

- Kto bił sołtysa?

Ponieważ z żadnych ust nie padło słowo, które by pozwoliło dokonać jakichś ustaleń, jeden z zamaskowanych mężczyzn wbił lufę automatu w gardło najbliższego stojącego i pociągnął krótko za spust.

- Kto bił sołtysa?

Jak widać, pytanie powtórzyło się. Padło ono, zanim jeszcze zabity osunął się na ziemię. Tym razem nie było kłopotu z odpowiedzią. Kilka umundurowanych rąk wyciągnęło się w kierunku sprawców, którym przerażenie odjęło chyba nawet umiejętność prawidłowego oddychania. Było ich trzech.

Dziwiesięciu pozostałych żołnierzy instynktownie odstąpiło o krok od swoich kolegów już w trakcie wytykania ich palcami. Zresztą na wyraźne polecenie przecież.

Egzekucja odbyła się krótko i bez niepotrzebnych słów, a na zakończenie ci wszyscy, którzy przeżyli, mimo że odczuwali wyraźny ból serc podczas obowiązkowego zdawania broni, usłyszeli:

- Zabierajcie tych zabitych zwyrodnialców i nigdy tu nie wracajcie, bo będzie nowe nieszczęście.

I to było wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia, jeżeli nie liczyć tego, że Kozaków prawie wściekł się ze złości.

Pogrzeb wyprawiono tylko jednemu spośród zabitych. Trzej pozostali pochodzili z innych stron, ich zwłoki odwieziono rodzinom. Natomiast za trumną miejscowego żołnierza szła tylko jego stara matka, cztery sąsiadki, niewielki pluton żołnierzy KBW i dwóch oddelegowanych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Był to naprawdę smutny pogrzeb.

Prawdopodobnie przypadkowo wieczorny patrol UB natknął się na dwie randkujące pod mroźnym niebem pary i pod groźbą pistoletów funkcjonariusze zażądali dokumentów. Zapewne przez roztargnienie młodzi ludzie zamiast dokumentów wydobyli pistolety. Nagłą śmiercią zginął jeden z kawalerów oraz jeden członek patrolu.

Pogrzeby obydwu pechowców odbyły się tego samego dnia. Nieukierunkowana we właściwy sposób społeczność miasta podreptała licznie za trumną cywila,

natomiast funkcjonariuszowi towarzyszyła jedynie delegacja z Urzędu, dodająca sobie co jakiś czas animuszu za pomocą krótkich serii w niebo, co niewątpliwie miało skłonić Pana Boga do zarejestrowania tam nowej, patriotycznej duszy spod znaku UB.

A potem zdarzyła się ta nieprzyjemna sprawa z podporucznikiem Bocianem i jego rodziną. Ano... zdarzyła się.

Mieszkańcy Zieleńca stopniowo zaczęli przyzwyczajać się do tych nieskomplikowanych ceremonii, które przecież miały z góry ustalony przebieg. Hazardziści stawiali przy wódce nieskromne prognozy, z których wynikało, że jeśli tak dalej pójdzie, to Zieleńcowi grozi import obcych obywateli, ponieważ może dojść do sytuacji, w której zabraknie ludzi nie tylko do pracy, ale również do zasiedlania mieszkań i domów. W każdym razie ustalono, że takiej przyspieszonej wędrówki w zaświaty nie zaobserwowano nawet podczas całego okresu okupacji niemieckiej. Wzięto przy okazji pod uwagę fakt, iż Niemcy nie mieli zwyczaju strzelać do Niemców, podczas gdy aktualnie, w wyzwolonym do połowy kraju, Polacy strzelają wzajemnie do siebie jak do kaczek na polowaniu.

Takie to i jeszcze inne wydarzenia plątały się teraz w świadomości uczestników konduktu pogrzebowego, sunącego za trumną podporucznika Bociana.

Już niedaleko. Jeszcze tylko sto metrów dzieli żałobny pochód od cmentarnego muru. Komu chciało się unieść głowę i spojrzeć przytomnie przed siebie, ten mógł dostrzec sylwetkę człowieka, którego znało całe miasto.

Na tle otwartej bramy stał Smoluch, osobisty szofer kierownika UB, Kozakowa. Pośród pięćdziesięciu prawie tysięcy obywateli Zieleńca miał Smoluch opinię najgorszą z możliwych, a zasłużył na nią w rekordowym czasie dwóch miesięcy po odejściu Niemców. Bywało więc tak, że paradował po pijanemu ulicami miasta z pepeszą na ramieniu, zatrzymywał się tu i ówdzie i strzelał długimi seriami do wron oblegających drzewa.

Starał się też często błyskać dowcipem, co zazwyczaj polegało na tym, że w trakcie swoich pirotechnicznych zabiegów wyskakiwał nagle z bramy, wrzeszczał do przechodzącej babci lub dziecka "ręce do góry" i walił do kraczących ptaków tuż obok twarzy zaskoczonej osoby. Nikt nie prowadził statystyki wyczynów Smolucha, ale liczba nerwic i chorób serca wzrosła podobno niebywale w ostatnim czasie. Nazywano go wariatem, na jego widok zgrzytały zęby a ręce zaciskały się w pięści, ale nikt nie odważył się głośno zaprotestować. Tylko ten niepochlebny pseudonim przylgnął do niego jak wierne pchły do starego



psa.

Był to mężczyzna trzydziestoparoletni, bez rodziny i bez przyjaciół, w Zieleńcu pojawił się nie wiadomo skąd, ale wiadomo, że z pepeszą w ręku. Na jego mundurze odznaczały się ostro rozległe tłuste plamy, nabyte prawdopodobnie podczas nierzadkich reperacji wiecznie psujących się Willysów z wojskowego demobilu. Kiedy zaś Smoluch ściągał na chwilę czapkę w restauracji "Polonia", aby podrapać się w spoconą głowę, na światło dzienne wyłaziła gęsta szopa strąków przeplatanych pajęczyną i trocinami, z czego niekoniecznie bystry obserwator mógł wnioskować, że Smoluch śpi gdzieś w opuszczonej szopie, zresztą nikt w mieście nie przyznawał się do sąsiedztwa z nim samym.

A teraz Smoluch stał na szeroko rozkraczonych nogach i czekając na zbliżający się kondukt, bez pośpiechu ściągał pasek pepeszy z ramienia.

Ludzie zwolnili tempo marszu. Szóstka niosąca trumnę nie mogła doczekać się zmienników i zatrzymała się, aby dać kolegom do zrozumienia, że umęczone barki nie wytrzymają dłużej.

Pauza przeciągała się, ponieważ wszystkie oczy wlepione były w Smolucha. Jego postawa zaczynała budzić poważne obawy. Lufa pepeszy sterczała już na wprost zaniepokojonego tłumu. Co ten wariat zamierza robić?

Kościelny i dwaj ministranci, którzy szli na czele konduktu, zrejterowali mocno w bok, a naprzeciw Smolucha i jego pepeszy stało sześciu utrudzonych ludzi z ciężką trumną na ramionach.

Ironiczny grymas wykrzywił usta Smolucha.

- No! - wrzasnął ostro, wypinając rachityczną pierś. - Tylu was się zebrało? A jak my giniemy, to co? To was nie ma? To my nie ludzie? A ten psi syn jest więcej wart ode mnie? Zaraz wyślę go do piekła!

Seria z pepeszy uderzyła o wieko trumny. Z piersi oniemiałych kobiet wyrwał się gremialny pisk. Żałobni tragarze skulili się, trumna opadła pół metra niżej, ale Smoluch nie ustępował. Druga seria zerwała wieko, które przetoczyło się po głowach jednej trójki i z trzaskiem wylądowało na bruku.

Tragarze nie wytrzymali nerwowo. Jak na zawołanie wszyscy razem puścili trumnę w tej samej chwili i rozbiegli się na boki. Smoluch nie przestawał strzelać. Kule dostawały się zamarzniętemu na kość nieboszczykowi a deski trumny rozsypały się w drzazgi.

Gęsty tłum zrobił w tył zwrot i uciekał w panice tą samą drogą, którą tak dostojnie jeszcze do niedawna kroczył.

## Rozdział 2.

Ostre światło latarki zlało się w jedno z brutalnym szarpnięciem i głośnym wrzaskiem.

- Wstawać!!

Mężczyzna uniósł powieki, ale natychmiast je zamknął. Jego twarz znajdowała się w kręgu światła, podczas gdy głos i szarpanie dochodziły z ciemności, której w takiej sytuacji nie sposób było przeniknąć wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytał, próbując tak ustawić powieki, aby zachować przynajmniej niewielką szczelinę.

- Buczek Jerzy? - padło ostre pytanie.

- Tak.

- Ubierać się!

Próbował wsadzić rękę pod poduszkę, chociaż był przekonany, że to nie miało najmniejszego sensu. Czyjeś dłonie ucałyły go silnie za przedramię.

- Czego tam szukasz? No?... Aha! Towarzyszu poruczniku, jest broń. Taki z niego gagatek, psia krew!

Mocne uderzenie pięścią w twarz rzuciło go znowu na posłanie.

- Pogadamy z tobą na miejscu! No już! Na co czekasz? Ubieraj się!

W pewnej chwili ogarnęła go taka wściekłość, że miał chęć rzucić się na nich z zębami. Światło latarki przeniosło się już na środek izby. Nie mógł jeszcze sprawnie się poruszać, ale napiął mięśnie i wciągnął spodnie dość sprawnie, a potem schylił się i założył buty, czując tępy ból przy każdym większym ruchu.

Dopiero gdy stanął obok łóżka, zadał swoim prześladowcom pytanie, którego nie potrafił sobie odmówić:

- Gdzie nauczyliście się tak dobrze mówić po polsku?

W pierwszej chwili nie zrozumieli, o co mu chodzi.

- Czego ty chcesz?

- Pytam, gdzie nauczyliście się mówić po polsku, herr unterfuehrer!

- Ach, ty gadzino!

Uderzenie w tył głowy rzuciło go na podłogę. Swojego pytania pożałował

w momencie, gdy poczuł buty na żebrach, które przecież nie tak dawno się zrosły. Ale wściekłość znów zagłuszyła w nim poczucie upokorzenia.

- Sehr gut, herr unterfuehrer, sehr gut! - wymamrotał podkulając nogi pod brzuch i nakrywając rękami głowę.

Kopali gdzie popadło.

- Dość! - zakomenderował ktoś stojący pod oknem. - Potrzebny jest żywy, a nie trup.

- Towarzyszu poruczniku, on robi z nas Szwabów!

- Nie zwracaj mi głowy! Bierzcie go i wychodzimy!

Jeden chwycił mocno za włosy i unióśł mu głowę, drugi poświecił znów latarką w oczy.

- Zdrowy drań! - zaopiniował ten pierwszy. - Wstawaj!

Tym razem nie udało mu się wykonać polecenia.

- Nie mogę... - powiedział stękając. - Coś... coś mi się stało z żołądkiem... Oj!... - krzyknął, gdy kilkoro dłoni uniosło jego tułów do postawy stojącej. - Znowu jestem do niczego...

- Trzeba było nie bluźnić! - zawołał spod okna porucznik.

- Wszystko mi jedno - melancholijnie zgodził się Buczek. - Przywykłem do bicia. Możecie zacząć od nowa.

- Takiś chętny? Będzie na to czas! Idziemy!

Z trudem powłóczył nogami. Prawie nieśli go, kiedy wspólnie przekraczali próg domu. Na zewnątrz było widniej. Otaczało go kilku mężczyzn w mundurach. Rozpoznał odznaki Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Opodal stała ciężarówka. Prowadzili go prosto do niej. Obejrzał się z niepokojem.

- A gdzie gospodarz? Jego też zabieracie? - zapytał, nie bardzo wiedząc, do kogo zaadresować pytanie.

Zarechotali pogardliwie.

- Patrzcie, jaki filut! O gospodarza się martwi. Hej, hej! Gospodarzu!

Niski, krępy mężczyzna w uszatce na głowie wychylił się z szopy.

- A co tam, panowie?

- Wasz lokator martwi się o wasze zdrowie!

- Niech on się martwi lepiej o swoje! - odburknął chłop.



Żołnierze znowu zarechotali.

- Słyszałeś dobrą radę? - pokleпали go pięściami po plecach.

Poczuł klucie w płucach i zakasłał.

- Zostawcie go! - wtrącił się znowu porucznik. - Bo wykorkuje!

Podsadzili obolałe ciało na zamkniętą klapę naczepy. U góry stało już dwóch innych, którzy go wciągnęli do wnętrza. Usiadł na podłodze w rogu. Kilku żołnierzy weszło zaraz za nim.

Samochód ruszył. Wstrząsy wywoływały rytmiczne bóle w plecach i w żołądku, ale starał się zbagatelizować sprawę. Udało mu się to na tyle, że nie zorientował się nawet, kiedy ciężarówka stanęła znowu.

Ktoś go sprowadził na ziemię, a potem dwaj ludzie chwycili go pod ramiona i prowadzili gdzieś w dół, potem popchnęli na twarde łóżko, zatrzasnęli drzwi i przekręcili klucz w zamku.

Przez zakratowane okienko zaczął wciskać się świt. Buczek przekręcił się na plecy. Nie czuł bólu, kiedy się nie poruszał. Ostrożnie wychylił twarz do poskrobanej napisami ściany. Wstrzymał na chwilę oddech, gdy w świetle wczesnego poranka odczytał wyraźny napis: "Jerzy Buczek, styczeń 1944".

Nie wierzył własnym oczom. Patrzył, mrugał oczami i znowu patrzył, starając się skojarzyć fakty. Wreszcie wybuchnął głośnym, długim śmiechem.

Nie słyszał nawet otwieranych drzwi. Ocknął się, gdy otrzymał uderzenie w twarz.

- Co jest, do cholery? - zaskrzeczał mu ktoś nad głową. - O tej porze jeszcze wszyscy śpią! Czego drzesz mordę?

- Bo... - starał się powstrzymać na siłę atak śmiechu. - Bo dzisiaj obchodzę tutaj rocznicę. W tym samym apartamencie. Cha! cha! cha! Tylko że przedtem odźwierny nosił inną liberię! Cha! cha! cha!

## Rozdział 3.

W ratuszu było dziś gwarno i tłoczno. Towarzysz Kozakow zaprosił na posiedzenie wszystkich członków rady miejskiej. Na sali konferencyjnej znaleźli

się także ludzie, których nikt z zaproszonych gości nie znał i nigdy nie widział.

- Towarzysze i panowie! - zagał Kozakow, wspierając się mocno o biurko. - Zaprosiłem was tutaj z wielu powodów. Jak wiecie, wojna jeszcze się nie skończyła, do Berlina wciąż daleko a na tyłach Armii Czerwonej wróg nie śpi. W lasach grasują bandy, które utrudniają normalne życie mieszkańcom powiatu. Rozumiemy wszyscy, że bandy nie mogłyby istnieć, gdyby nie miały zaplecza pod postacią ochrony i wyżywienia u chłopów a także u mieszkańców Zieleńca. Partyzantka na naszym terenie skończyła się dwa miesiące temu. Wszyscy, którzy dotychczas ujawnili się i złożyli broń, żyją w spokoju i nikt nie ma do nich pretensji. Ale nie kończące się akty terroru świadczą o tym, że nie wszyscy złożyli broń. Zginęło już ośmiu funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i nie chciałbym, aby następni osierocili własne rodziny. Z naszych ustaleń wynika, że do tej pory ujawnili się głównie ci, którzy walczyli w Armii Ludowej, natomiast w rejestrze nie ma żadnego dowódcy oddziałów Armii Krajowej. Nie wiemy na przykład, gdzie ukrywa się były komendant policji, niemiecki kolaborant Jan Gabala. Gdyby panowie i towarzysze wiedzieli coś o nim i udzielili nam informacji, byłoby to z korzyścią dla wszystkich.

Kozakow skończył i potoczył spojrzeniem po wszystkich.

- Czy ktoś chciałby zabrać głos w dyskusji?

Wyciągnął ostrożnie dłoń prezes PSL, Sikorski.

- Coś tu nie jest w porządku, panie kierowniku - rzekł spokojnym, opanowanym głosem. - W sprawie komendanta Gabali to ludzie wiedzą, że jest on naszym bohaterem narodowym jak niegdyś Konrad Wallenrod. Nie pojmuję, co pan rozumie, wyrażając się o nim "niemiecki kolaborant". Mam nadzieję, że to żart. Czy mogę mieć nadal taką nadzieję, kierowniku?

Kozakow uśmiechnął się przyjaźnie.

- A dlaczego ten Konrad Wallenrod nie przyjdzie i nie opowie o swoich zasługach?

- Widocznie go towarzysz kierownik nie zaprosił! - ryknął Kacprzak, ubrany w zieloną bluzę z czerwono-białą opaską na rękawie

- Tak? Wobec tego wszyscy jesteście świadkami! - zawołał Kozakow, przekrzykując śmiejących się gości.- Publicznie zapraszam Jana Gabalę na pogawędkę. Towarzysz komendant Kacprzak może powiedzieć o tym zaproszeniu wszystkim swoim ludziom. Porozmawiamy tu sobie szczerze i dla każdego znajdzie się odpowiednie miejsce.

Zabrał teraz głos prezes gminnej spółdzielni, Bielczyk:

- Kierowniku, we wsi Tarachy wasi ludzie zabili sołtysa Kowala! - Głos Bielczyka naładowany był agresją. - Jeżeli macie zamiar w taki sposób postępować z ludnością, to dojdzie do wojny domowej. O to wam chodzi?

- Sołtys Kowal należał do zamaskowanej bandy, która zabiła w Tarachach czterech żołnierzy. Nie warto go żałować, prezesie. A co do Tarachów, to w najbliższym czasie sytuacja się wyjaśni.

- Panie Kozakow! - zabrzmiał tubalny głos sędziego Hanika. - Czterech waszych ludzi to wasza sprawa, ale z zabójstwa Kowala będziecie musieli się wytłumaczyć. Myśmy nie dali wam nieograniczonej władzy, jesteście tutaj tylko do czasu zakończenia wojny i macie działać zgodnie z prawem.

Kozakow poczerwieniał. Przygryzł wargi i cedząc powoli słowa, powiedział:

- Panie sędzio, mnie tu postawiła władza państwowa i ja nie muszę pytać o zgodę nikogo w Zieleńcu.

- Władza państwowa postawiła tu pana, ale prawo reprezentuję w Zieleńcu ja jako prezes sądu. I jeszcze jedno - dorzucił sędzia. - Jutro rano mam zamiar odbyć wizytę w pańskim areszcie.

- Pan? - otworzył usta zaskoczony Rosjanin.

- Tak. Wspólnie z prokuratorem Żeleźniakiem.

- Panowie mają jakieś zastrzeżenia co do trudnej roli organów bezpieczeństwa?

- Absolutnie nie!

- W takim razie nie rozumiem.

- Mam pytanie, kierowniku. Gdy je zadam, zrozumie pan więcej. A zatem co robi w podziemiach tego ratusza człowiek, którego nie zdążyli wykończyć gestapowcy?

Kozakow skurczył się nagle i kilkakrotnie oblizał językiem górną wargę.

- W tej chwili trudno mi domyślić się, o kogo chodzi - powiedział zimno.

- O Jerzego Buczka. Podobno ledwo żyje. Czy to prawda?

- Hmm... Nie nasza wina... Był torturowany przez Niemców.

- Więc pytam się! - ryknął brutalnie prezes sądu. - Co robi torturowany przez Niemców polski partyzant w polskim więzieniu?

- Było polecenie odgórne...

- Odgórne? - przerwał Hanik. - Od kogo? Od hauptsturmfuehrera Fullera? Czy



tak? Czy wykonuje pan rozkazy tej hitlerowskiej świni? Boi się pan, że Fuller wróci i wsadzi pana za niewykonanie rozkazu? Czyj to kraj, do stu piorunów? Jakie prawa teraz rządzą? Był czarny faszyzm a teraz pan wprowadził tu czerwony faszyzm! Jutro przed południem Jerzy Buczek ma być zwolniony, w przeciwnym wypadku, towarzyszu Kozakow, czeka pana szubienica i ja tego dopilnuję!

Hanik podniósł się z krzesła i trzymając sztywno swoją wysoką postać, opuścił demonstracyjnie salę.

Zrobiła się nieprzyjemna atmosfera, ale jakoś nikt nie kwapił się do zabrania głosu. Kozakow postukiwał rytmicznie kostkami palców o biurko, dolną wargę wysunął mocno w przód, nadając twarzy wyraz bezgranicznego obrzydzenia. Spod oka patrzył za odchodzącym sędzią, potem skupił się na kontrolowaniu rytmu uderzeń o blat biurka, aż wreszcie uniósł głowę, omiół spojrzeniem wszystkich uczestników zebrania i zatrzymał uwagę na Kacprzaku.

- Towarzyszu Kacprzak, proszę poinformować naszych gości, jak wielkie zadania stoją przed funkcjonariuszami, ponieważ wypowiedź pana prezesa Hanika mogłaby sugerować, że my tu nic innego nie robimy, tylko znęcamy się nad ludźmi. Proszę opowiedzieć, ilu ludzi straciliście dotychczas w trakcie starć z bandytami.

Kacprzak wstał z miejsca, demonstrując radnym silną, wysportowaną sylwetkę w idealnie dopasowanym mundurze.

- Tak - zaczął krótko i natychmiast zmarszczył brwi, jak gdyby potrzebował jeszcze trochę czasu do ułożenia sobie rzeczowego przemówienia. - Panowie mieszkacie w większości w mieście i niezbyt dobrze orientujecie się, jak wygląda sytuacja w terenie. Niestety, bandyci rozpanoszyli się, nierzadko napadają na chłopów, biją ich, zabierają żywność, czasami gwałcą kobiety, zabijając chroniących je mężczyzn. W ciągu dwóch miesięcy utraciłem sześciu ludzi, którzy wpadli w zasadzkę, zwabieni przez grupę byłego AK-owca, Antoniego Koszalskiego...

- On nie był AK-owcem!

Wszystkie głowy obróciły się do drzwi, gdzie zajmował miejsce przedwojenny nauczyciel gimnazjalny, Liszkiewicz.

- Powtarzam, on nie był AK-owcem - powiedział o wiele spokojniej, niż za pierwszym razem.

Kacprzak wyglądał na speszzonego.

- Towarzysz Kozakow ma go w rejestrze jako podoficera AK - powiedział z ledwo dostrzegalną pretensją w głosie.

- Panie komendancie - rzekł dobitnie Liszkiewicz. - Byłem intendentem w batalionie Kowboja, znałem więc wszystkich AK-owców bardzo dobrze. Antoni Koszalski natomiast był w rejestrze Armii Ludowej, a z nami, na wspólnym zgrupowaniu pozostawał zaledwie kilka dni. Po rozdzieleniu się oddziałów odszedł razem z Inowolakiem i słuch po nim zaginął.

- A zatem... - bąknął Kacprzak.

- A zatem pańskich milicjantów zabija wasz kolega z Armii Ludowej. Pan przecież powinien go znać!

- Jeżeli to prawda, co pan mówi... Musiał występować pod pseudonimem. Myślę, że gdyby udało mi się go zobaczyć, na pewno bym go rozpoznał.

- Dajcie spokój, towarzyszu Kacprzak! - zniecierpliwiał się Kozakow. - Ustalimy to dokładnie i wtedy podejmiemy odpowiednią decyzję. Chciałem przy okazji poinformować panów, że pan profesor Liszkiewicz był pierwszym oficerem AK, który ujawnił swoją działalność partyzancką, oddał broń i podpisał oświadczenie lojalności wobec nowej władzy. Jak panowie widzą, każdy, kto tak postąpi, ma zapewnioną ochronę prawną i poparcie władzy państwowej. Tym bardziej więc nie rozumiem, dlaczego nie ujawnił się Jan Gabala. Gabala musi tylko wyjaśnić swoją działalność okupacyjną.

- Widocznie czeka na ujawnienie się Jerzego Buczka! - zawołał ironicznie prezes banku, Łukowski. - Jeszcze go pan do tego nie namówił, kierownik?

Wszyscy ryknęli śmiechem. Kozakow poczerwieniał jak burak.

- Panowie, ja naprawdę nie mam wolnej ręki w tej sprawie! - wykrzyknął z oburzeniem.

- Panie Kozakow - odezwał się zniecierpliwiony prezes PSL, Sikorski. - Jest pan tutaj szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, czy tylko naczelnikiem piwnicy, w której siedzą jacyś bliżej nieznanymi więźniowie? Jeżeli chce pan mieć u nas autorytet, to musi pan nauczyć się podejmowania samodzielnych decyzji. A sędziemu Hanikowi nie warto się narażać. On ma kontakty w rządzie lubelskim, więc jeżeli obiecał panu szubienicę, to dopóki nie zwolni pan Buczka, niech się pan czuje wisielcem.

Tym razem cień niepewności przemknął po twarzy Kozakowa. Kilkakrotnie strzelił palcami obu rąk, zanim odzyskał mowę.

- Jest zrozumiałe, że miastem rządząmy wspólnie - uśmiechnął się prawie ugodowo. - Jeżeli weźmiecie na siebie odpowiedzialność za Buczka, to złożę raport w tej sprawie i zaopiniuję wniosek pozytywnie.

- Panie Kozakow! - krzyknął od drzwi Liszkiewicz. - Prezes Hanik dał panu czas tylko do jutra!

Wstał znowu Sikorski.

- Panie Kozakow - powiedział łagodnie. - Panu zależy na ujawnieniu się Gabali, prawda? Wypuść pan Buczka, ludzie zobaczą, że masz pan dobre intencje, a wtedy wszyscy się ujawnią.

Rosjanin otworzył usta z wrażenia. Widać było, że argumentacja prezesa PSL, jeżeli nawet nie przekonywała go całkowicie, to przynajmniej sprowokowała do myślenia. Co znaczy wymęczony przez Niemców porucznik Buczek przy takim asie jak Gabala?

- Chce pan współpracy z nami, kierowniku? - wtrącił się Łukowski. - Jeżeli tak, to trzeba zrobić atmosferę. Wezwał nas pan tutaj, abyśmy ułatwili panu zadanie, ale my patrzemy ludziom na ręce. Moim zdaniem czystych rąk pan nie ma, panie Kozakow. W tej sytuacji... nie wiem czy pan to pojmuje. W każdym razie bez naszej pomocy nie da pan sobie rady, a kiedy pańscy zwierzchnicy to odkryją, zdejmą pana ze stołka i wyślą gdzieś za Ural na szefa zapyziałego kołchozu. - Co pan ma na myśli? - zapytał rzeczowo Kozakow.

- Niech pan się zgodzi na weryfikację oskarżeń wobec więźniów.

- A niby kto ma to zrobić?

- Prezes sądu i prokurator. Tam mówi polskie prawo.

- Przedwojenne pańskie prawo! - prychnął Kozakow pogardliwie.

- Nowego jeszcze nie uchwalono. W kwestii wolności obowiązują stare przepisy.

- Uważa pan, że moi ludzie razem z milicjantami nie wystarczą do zaprowadzenia porządku?

- Myślę, że wystarczą, panie Kozakow. Tak właśnie myślę. Chyba że do koszar, gdzie niedawno stał Wehrmacht, wejdzie nowy pułk okupacyjny.



# Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

